

Obca sypialnia. Nieznajoma. Nie wiem, gdzie jestem, skąd się tu wzięłam. Nie wiem, jak dotrę do domu.

Spędziłam tu noc. Obudził mnie kobiecy głos – z początku myślałam, że to głos kobiety, która jest ze mną w łóżku, po czym zdałam sobie sprawę, że to speakerka czytająca wiadomości i że budzik uruchomił radio – a kiedy otworzyłam oczy, stwierdziłam, że znajduję się tutaj. W tym pokoju, którego nie rozpoznaję.

Moje oczy dostosowują się do półmroku i rozglądam się. Widzę niewiele: szlafrok na drzwiach szafy – niewątpliwie damski, choć dla kobiety o wiele starszej ode mnie – i jakieś ciemne spodnie, starannie złożone, zwisające z oparcia krzesła przy toaletce. Budzik sprawia wrażenie skomplikowanego, znajduję jednak odpowiedni przycisk i uciskam go.

Wtedy właśnie słyszę za sobą, jak ktoś gwałtownie wciąga powietrze, i uświadamiam sobie, że nie jestem sama. Odwracam się. Widzę bezkres skóry i ciemnych włosów poprzetykanych siwizną. Mężczyzna. Lewą rękę ma na koldrze, na środkowym palcu widzę złotą obrączkę. W duchu wydaję jęk. A więc tym razem nie tylko starzy i siwy, lecz także żonaty. Mało, że różnęłam się z żonaty, to jeszcze zrobiłam to chyba w jego domu, w łóżku, które musi na co dzień dzielić z żoną. Opadam na poduszki, żeby pozbierać myśli. Powinam się wstydzić.

Zastanawiam się, gdzie ta żona. Czy muszę się bać, że lada chwila się tu pojawi? Wyobrażam sobie, że stoi po drugiej stronie pokoju, krzyczy i wyzywa mnie od dziwek. Meduza. Kłębowisko żmij. Zastanawiam się, jaką przyjąć linię obrony, gdyby się pojawiła. Facet w łóżku chyba się nie przejmuje. Odwrócił się i dalej chrapie.

Staram się leżeć nieruchomo. Zwykle umiem sobie przypomnieć, jak się znalazłam w sytuacji tego rodzaju, ale dzisiaj nie. Musiała być jakaś impreza albo wyprawa do baru czy klubu. Ani chybi nieźle się nawaliłam. Na tyle, że w ogóle nic nie pamiętam. Na tyle, że poszłam do faceta z obrączką ślubną na palcu i włosami na plecach.

Jak najdelikatniej odgarniam kołdrę i siadam na skraju łóżka. Przede wszystkim muszę do łazienki. Wzgardzam klapkami przy moich nogach – w końcu dymać się z czymś mężem to jedno, a chodzić w czyichś kapciach to zupełnie co innego – i boso wymykam się na podest. Jestem naga, boję się, że trafię w niewłaściwe drzwi albo wpadnę na jakiegoś sublokatora czy nastoletniego syna. Z ulgą dostrzegam, że drzwi łazienki są otwarte na oścież, wchodzę i zamykam się na klucz.

Siadam, korzystam z toalety, później spuszczam wodę i odwracam się, żeby umyć ręce. Sięgam po mydło i coś mi nie pasuje. Z początku nie mogę skumać, co takiego, i nagle pojmuję. Ręka chwytająca mydło nie wygląda na moją. Skóra jest pomarszczona, paznokcie niewypolerowane i obgryzione do żywego mięsa i podobnie jak u tego mężczyzny w łóżku, na serdecznym palcu widnieje prosta złota obrączka ślubna.

Wpatruję się w nią chwilę, potem poruszam palcami. Palce ręki trzymającej mydło też się poruszają. Gwałtownie wciągam powietrze, mydło z łoskotem

wpada do umywalki. Podnoszę wzrok i spoglądam w lustro.

Twarz, na którą patrzę, nie należy do mnie. Oklapnięte włosy są obcięte o wiele krócej, niż ja się strzygę, skóra na policzkach i pod brodą obwisa, wargi są cienkie, kąciki ust opuszczone. Krzyczę bezgłośnym szlochem, który przerodziłby się we wrzask, gdybym go wydobyła, i nagle dostrzegam oczy. Skóra wokół nich jest pomarszczona, owszem, ale to moje oczy. Osoba w lustrze to ja, tyle że jestem o dwadzieścia lat za stara. O dwadzieścia pięć. O więcej.

Niemożliwe. Zaczynam się trząść i chwytam skraj umywalki. Kolejny krzyk wzbiera w mojej piersi, wydostając się jako zduszone sapanie. Cofam się, odsuwam od lustra i wtedy je dostrzegam. Fotografie. Przyklejone do ściany, do lustra. Zdjęcia przeplecione żółtymi kawałkami taśmy, notatkami skreślonymi flamastrem, wilgotne i zniekształcone.

Wybieram jakiś podpis na chybił trafił. „Christine”. Strzałka wskazuje na moje zdjęcie – przy czym to jestem ta nowa ja, ta stara – na którym siedzę na ławce na nabrzeżu obok mężczyzny. Imię wydaje się znajome, ale mgliście, jakbym dopiero z wielkim wysiłkiem mogła uwierzyć, że to moje. Na zdjęciu oboje uśmiechamy się do aparatu, trzymamy się za ręce. On jest przystojny, atrakcyjny, a przyjrzawszy się uważniej, stwierdzam, że to ten mężczyzna, z którym spałam, ten, którego zostawiłam w sypialni. Pod spodem widnieje imię „Ben”, a obok „twój mąż”.

Gwałtownie chwytam powietrze i zdzieram fotografię ze ściany. Nie – myślę. – Nie! To niemożliwe... Przebiegam wzrokiem po pozostałych zdjęciach. Na wszystkich widnieje ja i on. Na jednym mam na sobie brzydką sukienkę i odpakowuję prezent, na innym obo-

je nosimy identyczne wodoodporne kurtki i stoimy na tle wodospadu, a jakiś piesek obwąchuje nam nogi. Tuż obok wisi kolejne, jak pijemy sok pomarańczowy. Mam na sobie szlafrok, który widziałam w sypialni obok.

Cofam się jeszcze o krok, aż czuję na plecach zimne kafelki. Wtedy właśnie dociera do mnie przebłysk, który łączę ze wspomnieniem. Mój umysł próbuje go pochwycić, ale przebłysk ulatuje niczym pyłek porwany przez powiew i pojmuję, że w moim życiu jest jakieś wtedy, jakieś przed, chociaż nie umiem powiedzieć, przed czym, i jest jakieś teraz, a pomiędzy nimi jest tylko długa cicha pustka, która doprowadziła mnie tutaj, do mnie i do niego, do tego domu.

Wracam do sypialni. Wciąż mam w dłoni zdjęcie – to przedstawiające mnie i mężczyznę, obok którego się obudziłam – i trzymam je przed sobą.

– O co tu chodzi? – pytam. Krzyczę, łzy spływają mi po twarzy. Mężczyzna siada na łóżku, oczy ma przyknięte. – Kim jesteś?

– Twoim mężem – mówi. Twarz ma zasnęłą, bez śladu irytacji. Nie patrzy na moje nagie ciało. – Jesteśmy dwadzieścia lat po ślubie.

– Co to ma znaczyć? – pytam. Chcę uciec, tyle że nie mam dokąd. – Dwadzieścia lat po ślubie? Co to znaczy?

Wstaje.

– Proszę – podaje mi szlafrok i czeka, aż go włożę. On ma na sobie spodnie od pizamy, o wiele na niego za duże, i biały podkoszulek. Przypomina mi mojego ojca.

– Pobraliśmy się w osiemdziesiątym piątym – mówi. – Dwadzieścia dwa lata temu. Masz...

– Co?! – Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy, pókiż zaczyna wirować. Gdzieś w głębi domu tyka zegar,

głośno jak młot, a w każdym razie tak mi się wydaje.
– Ale... – On stawia krok w moim kierunku. – Jak...?

– Christine, masz czterdzieści siedem lat – mówi. Podnoszę na niego wzrok, na tego obcego, który się do mnie uśmiecha. Nie wierzę mu, nie chcę nawet słuchać, co mówi, lecz on ciągnie: – Miałas wypadek. Straszny wypadek. Doznałaś obrażeń głowy. Masz problemy z pamiętaniem.

– Z jakim pamiętaniem? Z pamiętaniem czego? – pytam, myśląc sobie, że na pewno nie chodzi o ostatnie dwadzieścia pięć lat.

Przysuwa się do mnie o krok, zbliżając się jak do przerażonego zwierzęcia.

– Wszystkiego – odpowiada. – Czasami zaczynasz od chwili, gdy miałaś dwadzieścia lat. Czasami jeszcze wcześniej.

W głowie mi się kręci, wirują daty i lata. Nie chcę pytać, wiem jednak, że muszę.

– Kiedy... kiedy miałam wypadek?

– W wieku dwudziestu dziewięciu lat...

Zamykam oczy. Mój umysł próbuje odrzucić tę informację, ale wiem gdzieś w głębi, że to prawda. Słyszę, że zaczynam płakać, a gdy tak płaczę, ten mężczyzna, ten BEN podchodzi do mnie, tam gdzie stoję, w progu. Czuję go tuż obok siebie, nie ruszam się, kiedy obejmuje mnie w pasie, nie opieram się, kiedy do siebie przyciąga. Trzyma mnie. Razem kołyszemy się delikatnie, a ja zdaję sobie sprawę, że ten ruch wydaje mi się znajomy. Od niego robi mi się lepiej.

– Kocham cię, Christine – mówi i chociaż wiem, że chyba powinnam powiedzieć to samo, nie mówię. Nic nie mówię. Jak mogę go kochać? To obcy. Wszystko jest bez sensu. Chcę wiedzieć tyle rzeczy. Skąd się tu wzięłam? Jakim cudem przeżyłam? I nie wiem, jak pytać.

– Boję się – mówię.
– Wiem – odpowiada. – Wiem. Ale nie martw się, Chris. Będę się o ciebie troszczył. Zawsze będę się o ciebie troszczył. Nic ci nie będzie. Zaufaj mi.

Mówi, że oprowadzi mnie po domu. Czuję się spokojniejsza. Wkładam majtki i starą koszulkę, którą mi dał, narzucam szlafrok na ramiona. Wychodzimy na podest.

– Widziałas już łazienkę. – Otwiera drzwi obok niej. – To jest gabinet.

W środku widzę szklane biurko i coś, co pewnie jest komputerem, chociaż wydaje się śmiesznie małe, niemal jak zabawka. Obok stoi segregator, stalowoszary, a nad nim wisi terminarz. Wszystko w nienagannym porządku.

– Tutaj pracuję od czasu do czasu – dodaje, zamykając drzwi. Kierujemy się na drugą stronę podestu i mężczyzna otwiera następne drzwi. Łóżko, toaleta, kolejne szafy. Jest tu niemal tak samo jak w pokoju, w którym się obudziłam.

– Tu czasami śpisz – opowiada – kiedy masz na to ochotę. Zwykle jednak nie chcesz się budzić sama. Panikujesz, jeśli nie możesz się zorientować, gdzie jesteś. – Kiwam głową. Czuję się jak potencjalny najemca oprowadzany po nowym mieszkaniu. Ewentualny współlokator. – Chodźmy na dół.

Podążam za nim. Prezentuje mi salon – brązowa kanapa i także krzesła, płaski ekran przymocowany do ściany, mężczyzna mówi, że to telewizor – oraz jadalnię i kuchnię. To wszystko jest mi obce. Nic kompletnie nie czuję, nawet na widok ustawionej na kredensie fotografii przedstawiającej nas dwoje.

– Na tyłach mamy ogród – mówi, a ja patrzę przez szklane drzwi prowadzące z kuchni na zewnątrz. Wła-

śnie świta, nocne niebo nabiera atramentowego granatu, dostrzegam zarys wielkiego drzewa i szopę na drugim końcu niewielkiego ogródka, ale niewiele więcej. Dociera do mnie, że nawet nie wiem, w jakiej części świata się znajduję.

– Gdzie jesteśmy? – pytam.

Mężczyzna staje za mną. Widzę w szybie odbicia naszych postaci. Ja. Mój mąż. W średnim wieku.

– W północnym Londynie – odpowiada. – Crouch End.

Odsuwam się. Wzbiera panika.

– Jezu – mówię – nawet kurde nie wiem, gdzie mieszkam...

Bierze mnie za rękę.

– Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. – Odwracam do niego głowę, czekam, aż mi powie, jak, jakim cudem wszystko będzie dobrze. Na próżno. – Może ci zrobię kawę?

Przez chwilę mam do niego żal, a w końcu mówię:

– Tak, tak, poproszę. – Nalewa wody do czajnika. – Czarnej poproszę – dodaję. – Bez cukru.

– Wiem – uśmiecha się do mnie. – Chcesz tosta?

Odpowiadam, że tak. Mężczyzna tyle o mnie wie, a i tak wygląda to na poranek po jednorazowym numerku: jem śniadanie z nieznanym u niego, zastanawiam się, kiedy wypada się zmyć, wrócić do domu.

I na tym właśnie polega różnica. Najwyraźniej mój dom jest tutaj.

– Chyba muszę usiąść – mówię.

Podnosi na mnie wzrok.

– Usiądź sobie w salonie – proponuje. – Za chwilę przyniosę ci kawę.

Wychodzę z kuchni.

Po kilku minutach Ben podąża za mną. Daje mi jakąś księgę.

– To album z pamiątkami – mówi. – Pewnie ci pomoże.

Biorę go. Dotykam plastikowej okładki, która ma wyglądać jak zniszczona skóra, ale nie wygląda, i czerwonej wstążki zamotanej w niechlujną kokardę.

– Zaraz wrócę – mówi Ben i wychodzi.

Siadam na kanapie. Czuję na kolanach ciężar albumu. Wydaje mi się, że jeśli do niego zajrzę, to tak jakbym weszła. Przypominam sobie, że cokolwiek znajduje się w środku, jest o mnie, że dostałam to od męża.

Odwiązuję kokardę i otwieram album w przypadkowym miejscu. Na zdjęciu jest Ben i ja, wyglądam o wiele młodziej.

Zatrząskuję księgę. Przesuwam dłońmi po grzbiecie, kartkuję. „Na pewno robię tak codziennie”.

Nie mogę sobie tego wyobrazić. Jestem pewna, że musiało dojść do jakiejś straszliwej pomyłki, chociaż to niemożliwe. Mam dowody – w lustrze na górze, w zmarszczkach na rękach, które muskają księgę na moich kolanach. Nie jestem tym kimś, kim się czułam po przebudzeniu.

Kim jestem w takim razie? Myślę. Kiedy byłam tą osobą, która się obudziła w łóżku nieznajomego i myślała tylko o ucieczce? Zamykam oczy. Czuję się, jakbym się unosiła w powietrzu. Nieuwiązana. Zagrożona zagubieniem.

Muszę zakotwiczyć. Próbuję się na czymś skupić. Na czymkolwiek. Na czymś trwałym, pewnym. Nic takiego nie znajduję. Tyle lat mojego życia. Utraconych.

Ta księga mi powie, kim jestem, ale nie chcę jej otwierać. Jeszcze nie. Chcę tu posiedzieć jakiś czas z całą przeszłością niewypełnioną. W niepewności, za-

wieszona pomiędzy możliwościami a rzeczywistością. Boję się odkryć swoją przeszłość. Co osiągnęłam, a czego nie.

Ben wraca i stawia przede mną tacę. Tosty, dwie filiżanki kawy, dzbanuszek z mlekiem.

– Wszystko dobrze? – pyta.

Kiwam głową.

Siada obok mnie. Ogolił się, włożył spodnie, koszulę i krawat. Już nie wygląda jak mój ojciec. Teraz wygląda, jakby pracował w banku albo w biurze. Nieźle, myślę, po czym uciszam tę myśl.

– Każdy dzień jest taki? – pytam.

Ben kładzie tosta na talerz, smaruje go masłem.

– Mniej więcej – odpowiada. – Chcesz? – Kręcę głową, on odgryza kawałek. – Wygląda na to, że zanim zaśniesz, pamiętasz, co się działo – wyjaśnia. – Po zaśnięciu jednak większość wspomnień znika. Smakuje ci kawa?

Mówię, że jest OK, Ben bierze księgę z moich rąk.

– To taki album z pamiątkami – mówi, otwierając go. – Kilka lat temu mieliśmy pożar, więc straciliśmy dużo starych zdjęć i innych rzeczy, ale tu trochę zostało. – Wskazuje pierwszą stronę. – To twój dyplom. A tu twoje zdjęcie z rozdania dyplomów. – Patrzę na to, co pokazuje. Uśmiecham się, mrużę oczy przed słońcem, mam na sobie czarną szatę i filcowy biret ze złotym frędzlem. Tuż za mną stoi mężczyzna w garniturze i krawacie, głowę ma odwróconą od obiektywu.

– To ty? – pytam.

Uśmiecha się.

– Nie. Nie robiliśmy dyplomu jednocześnie. Ja wtedy jeszcze studiowałem. Chemię.

Podnoszę na niego wzrok.

– Kiedy się pobraliśmy? – pytam.

Odwraca się do mnie twarzą, ujmuje oburącz moją dłoń. Zaskakuje mnie szorstkość jego skóry, pewnie jestem przyzwyczajona do młodzieńczej gładkości.

– Rok po twoim doktoracie. Wcześniej przez kilka lat chodziliśmy ze sobą, ale chciałaś... oboje chcieliśmy... chcieliśmy poczekać, aż skończysz studia.

To ma sens, chociaż wydaje mi się osobliwie praktyczne. Zastanawiam się, czy bardzo chciałam za niego wyjść.

– Bardzo się kochaliśmy – ciągnie, jakby czytał w moich myślach. – Nadal się kochamy.

Nie wiem, co powiedzieć, nic mi nie przychodzi do głowy. Uśmiecham się. Ben upija duży łyk kawy i znowu zagląda do książki. Przewraca kilka kartek.

– Studiowałaś filologię angielską – mówi. – Pracowałaś w kilku miejscach jeszcze przed dyplomem. Takie tam duperele. Jako sekretarka. Sprzedawczyni. Chyba nie za bardzo wiedziałaś, co chcesz robić. Ja zrobiłem licencjat i kurs pedagogiczny. Przez kilka lat było ciężko, aż w końcu zrobiłem dyplom i... no cóż... dotarliśmy tutaj.

Rozglądam się po pokoju. Jest elegancki, wygodny. Klasa średnia bez wyrazu. Nad kominkiem obrazek z pejzażem leśnym, porcelanowe figurki przy zegarze na obramowaniu. Ciekawe, czy uczestniczyłam w decyzjach o wystroju.

Ben kontynuuje:

– Uczę w szkole średniej tu niedaleko. Teraz jestem kierownikiem pracowni chemicznej. – Mówi to bez cienia dumy.

– A ja? – pytam, chociaż w zasadzie znam jedyną możliwą odpowiedź. Ben ściska mi rękę.

– Po wypadku musiałaś zrezygnować z pracy. Nic nie robisz. – Najwyraźniej wyczuwa moje rozczarowa-

nie. – Nie musisz. Ja mam niezłą płacę. Dajemy radę. Jest OK.

Zamykam oczy, kładę dłoń na czole. Wydaje mi się, że tego jest za dużo. Chcę, żeby się zamknął. Czuję, że więcej już nie przetworzę i jeśli ten człowiek doda coś jeszcze, wybuchnę.

Co robię przez cały dzień? – chcę spytać, lecz milczę, bojąc się odpowiedzi.

Ben kończy tosta i zanosi tacę do kuchni. Kiedy wraca, ma na sobie płaszcz.

– Muszę już iść do pracy – mówi. Denerwuję się. – Nie martw się – dodaje. – Nic ci nie będzie. Zadzwonię do ciebie. Obiecuję. Pamiętaj, że dzisiaj jest taki sam dzień jak każdy inny. Nic ci nie będzie.

– Ale...

– Muszę iść. Przykro mi. Przed wyjściem pokażę ci kilka przydatnych rzeczy.

W kuchni pokazuje mi, co jest w kredensie, jakieś resztki w lodówce, które mogę zjeść na lunch, i ścierną tablicę przykręconą do ściany, a obok czarny marker przywiązany sznurkiem.

– Tu zostawiam ci czasami wiadomości – mówi.

Widzę, że zapisał tam słowo „piątek”, równymi drukowanymi literami, a poniżej słowa „Pralnia? Spacer? (Odbierz telefon!) TV?”. Pod słowem „Pranie?” dopisał, że w lodówce zostało trochę łososia, i „Sałatka?”. Na końcu dodał, że powinien być w domu o szóstej.

– Masz też kalendarz – mówi. – W torebce. Z tyłu masz ważne numery telefonów i nasz adres, na wypadek gdybyś się zgubiła. I telefon komórkowy...

– Co takiego? – pytam.

– Telefon – wyjaśnia. – Bezprzewodowy. Możesz go używać wszędzie. Poza domem, gdzie chcesz. Znaj-

dziesz go w torebce. Jeśli będziesz wychodzić, pamiętaj, żeby go ze sobą wziąć.

– Dobrze.

– Świetnie – mówi. Idziemy do holu, Ben bierze zniszczoną skórzaną teczkę stojącą przy drzwiach. – No to idę.

– OK. – Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Czuję się jak dziecko, które nie poszło do szkoły i zostało samo w domu, podczas gdy rodzice udali się do pracy. Wyobrażam sobie, jak mówią: Niczego nie dotykaj. Pamiętaj, żeby wziąć lekarstwo.

Podchodzi do mnie. Całuje w policzek. Nie powstrzymuję go, ale i nie oddaję pocałunku. Odwraca się do drzwi i już ma je otworzyć, zatrzymuje się jednak.

– Ach! – odwraca się do mnie. – Zapomniałbym!

Nagle jego ton wydaje mi się wymuszony, entuzjazm udawany. Za bardzo się stara, żeby wypadło to naturalnie. Do tej wypowiedzi na pewno się przygotowywał, widzę to jak na dłoni.

Okazuje się, że nie mam się czego bać, bo to nic strasznego.

– Dzisiaj wieczorem wyjeżdżamy. Tylko na weekend. To nasza rocznica, więc przyszło mi do głowy, żeby coś zarezerwować. Odpowiada ci?

Kiwam głową.

– Pewnie tak – mówię.

Uśmiecha się, chyba z ulgą.

– Masz na coś wyjątkową ochotę, hm? Może trochę morskiego powietrza? Dobrze nam zrobi. – Odwraca się do drzwi i otwiera je. – Zadzwoń do ciebie później – dodaje. – Sprawdzić, jak sobie radzisz.

– Tak – odpowiadam. – Zadzwoń. Proszę.

– Kocham cię, Christine. Nigdy o tym nie zapominaj.

Zamyka za sobą drzwi, a ja się odwracam. Wchodzę do domu.

Później, przed południem. Siedzę w fotelu. Naczynia są umyte i stoją równo na ociekaczu, pranie w pralce. Stałam się wypełnić sobie czas.

Ale teraz czuję pustkę. To prawda, co Ben powiedział. Nie pamiętam. Niczego. W tym domu nie ma ani jednej rzeczy, o której bym wiedziała, że już ją widziałam. Ani jednej fotografii – ani wokół lustra, ani w albumie z pamiątkami, który mam przed sobą – która by wywołała wspomnienie momentu, gdy została zrobiona, nie mogę sobie przypomnieć żadnej chwili z Benem poza tymi spędzonymi od pobudki dzisiaj rano. Mam wrażenie, że mój umysł jest całkowicie pusty.

Zamykam oczy, próbuję się na czymś skupić. Na czymkolwiek. Na wczoraj. Na ostatnim Bożym Narodzeniu. Na jakimkolwiek Bożym Narodzeniu. Na moim ślubie. Nic, pustka.

Wstaję. Przechadzam się po domu, od pomieszczenia do pomieszczenia. Powoli. Sunę jak zjawa, muskając dłońią ściany, stoły, oparcia mebli, choć tak naprawdę ich nie dotykam. Jak to się stało? – myślę. Patrzą na dywany, na chodniki we wzorki, na porcelanowe figurki na obramowaniu kominka i zdobne talerze rozmieszczone na stojakach w jadalni. Próbuję sobie powiedzieć, że to moje. Wszystko moje. Mój dom, mój mąż, moje życie. Ale te rzeczy do mnie nie należą. Nie są częścią mnie. W sypialni otwieram drzwi szafy i widzę rząd ubrań, których nie rozpoznaję. Wiszą równo jak puste wersje kobiety, której nie znam. Kobiety, po której domu się szwendam, której mydła i szamponu używam, której szlafrok zrzuciłam i której kapcie noszę. Ukrytej przede mną, obecnej niczym upiór,

z dala ode mnie i niedotykalnej. Rano wybrałam bieliznę z poczuciem winy, przeszukując majtki pozwijane z rajstopami i pończochami, jakbym się bała, że zostanę na tym przyłapaną. Wstrzymuję oddech, kiedy w głębi szuflady znajduję majtki jedwabne, koronkowe, rzecz kupioną w równej mierze do oglądania, co do noszenia.

Ułożyłam nieużywaną bieliznę dokładnie tak, jak ją zastałam, wybrałam bladoniebieskie figi, które stanowiły chyba komplet ze stanikiem, i włożyłam je na siebie, a potem grube rajstopy i wreszcie spodnie oraz bluzę.

Siadłam przy toalecie, żeby przyjrzeć się swojej twarzy w lustrze, ostrożnie zbliżając się do odbicia. Prześledziłam bruzdy na czole, worki pod oczami. Uśmiechnęłam się i spojrzałam na swoje zęby, na zmarszczki, które się skłębily wokół obrysu ust, na kuznie łapki. Zauważyłam plamy na skórze, zabarwienie na czole wyglądające na siniak, który jeszcze nie do końca zbladł. Znalazłam jakiś podkład i nałożyłam trochę na twarz. Lekki puder, muśnięcie różu. Wyobraziłam sobie kobietę – teraz sobie uświadamiam, że moją matkę – jak robi to samo, nazywając to nakładaniem barw wojennych, i rano, kiedy odciskałam nadmiar szminki na chusteczce higienicznej, kiedy zakręcałam tusz do rzęs, świat wydał mi się właściwy. Czulałam, że wyruszam na jakąś bitwę albo że jakaś bitwa nadciąga ku mnie.

Wyprawianie mnie do szkoły. Nakładanie makijażu. Próbowалам myśleć o mojej matce, jak robi coś innego. Cokolwiek. Nic nie wymyśliłam. Widziałam tylko puste ogromne luki pomiędzy maleńkimi wysepkami pamięci, lata pustki.

Już w kuchni. Otwieram kredens: torby makaronu, paczki ryżu arborio, puszki fasolki. Nie rozpoznaję tego jedzenia. Pamiętam, że jadłam tost z serem, gotowe danie rybne, kanapki z peklowaną wołowiną. Wycią-

gam puszkę opisaną jako ciecierzycy, torebkę czegoś, co podobno nazywa się kuskus. Nie mam pojęcia, co to w ogóle jest, a co dopiero jak to przyrządzić. Jak więc sobie radzę jako żona?

Podnoszę wzrok na ścieralną tablicę, którą Ben mi pokazał przed wyjściem. Ma brudnoszarą barwę, pisano na niej wyrazy i ścierano je, pisano nowe, poprawiano, a każdy zostawiał trochę śladów. Zastanawiam się, co bym znalazła, gdybym mogła się cofnąć i odczytać starsze warstwy, gdyby się dało zagłębić w przeszłość tą drogą, zdaję sobie jednak sprawę, że nawet gdyby tak się dało, byłoby to daremne. Niewątpliwie znalazłabym tylko wszystkie wiadomości, listy zakupów, zadania do wykonania.

Czy to naprawdę moje życie? Myślę. Czy to wszystko, co mam? Biorę pisak i dopisuję coś na tablicy. „Spakować torbę na wieczór?” Może to nie żaden wypasiony przypominaacz, za to mój.

Słyszę hałas. Melodia, dobiega z mojej torebki. Otwieram ją i wysypuję zawartość na kanapę. Portmonek, kilka chusteczek, długopisów, szminka. Puder w kompakcie, paragon za dwie kawy. Kalendarzyk, ledwie kilka cali kwadratowych i kwiatowy wzór na okładce, i długopis wpięty w grzbiet.

Znajduję coś, co chyba jest telefonem opisanym przez Bena. Mały plastikowy przedmiot z klawiaturką, dzięki której wygląda jak zabawka. Dzwoni, a ekranik błyska. Przyciskam jakiś guzik, mając nadzieję, że właściwy.

– Halo? – mówię.

Głos, który odpowiada, nie należy do Bena.

– Cześć. Christine? Czy to Christine Lucas?

Nie chcę odpowiadać. Moje nazwisko wydaje mi się równie obce jak wcześniej ręka. Czuję się, jakby ka-

waleczek pewnego gruntu, który już zdobyłam, znowu zniknął, a w jego miejsce pojawiły się ruchome piaski.

– Christine? Słyszysz mnie pani?

Kto to może być? Kto wie, gdzie jestem, kim jestem? Zdaję sobie sprawę, że to może być ktokolwiek. Czuję, jak rośnie we mnie panika. Zawieszam palec nad przyciskiem, który skończy rozmowę.

– Christine? To ja. Doktor Nash. Niech się pani odezwie, proszę.

Nazwisko nic mi nie mówi, odzywam się jednak:

– Kto?

W głosie pojawia się inny ton. Ulga?

– Doktor Nash – mówi. – Pani lekarz.

Kolejna fala paniki.

– Mój lekarz? – powtarzam. Nie jestem chora, chcę dodać, lecz nawet tego nie wiem. Czuję, jak zaczyna kręcić mi się w głowie.

– Tak – mówi. – Spokojnie, proszę się nie denerwować. Pracujemy nad pani pamięcią. Nic złego się nie dzieje.

Zauważam, że powiedział „pracujemy”. Nie „pracowaliśmy”. A więc to znowu ktoś, kogo nie pamiętam.

– W jaki sposób pracujemy? – pytam.

– Staram się pani pomóc, poprawić pewne rzeczy. Próbuję dociec, co właściwie spowodowało pani problemy z pamięcią i czy możemy coś na to poradzić.

Brzmi sensownie, chociaż od razu przychodzi mi do głowy kolejna myśl. Dlaczego Ben przed wyjściem nie wspomniał o tym lekarzu?

– Jak? – pytam. – Co robimy?

– Spotykamy się od paru tygodni. Kilka razy w tygodniu, zależy.

To chyba niemożliwe. Kolejna osoba, którą regularnie widuję, a nie zostaje mi po tym żaden ślad.

Ale ja pana w ogóle nie znam, chcę zaprotestować. Może pan być kimkolwiek.

Nie mówię nic. To samo powiedziałabym o człowieku, przy którym się obudziłam dziś rano i potem się okazało, że to mój mąż.

– Nie pamiętam – mówię tylko.

Jego głos łagodnieje.

– Nie szkodzi, wiem. – Jeśli mówi prawdę, musi rozumieć to tak samo jak wszyscy. Wyjaśnia, że dzisiaj mamy następne spotkanie.

– Dzisiaj? – pytam. Przypominam sobie, co Ben powiedział rano, wracam do listy zajęć wypisanych na tablicy w kuchni. – Ale mąż nic mi o tym nie wspomniał. – Uświadamiam sobie, że po raz pierwszy w ten sposób nazwałam mężczyznę, z którym się obudziłam.

Doktor Nash odzywa się dopiero po chwili:

– Nie jestem pewien, czy Ben wie, że się pani ze mną spotyka.

Zauważam, że zna imię mojego męża.

– To śmieszne! – mówię. – Jak może nie wiedzieć? Powiedziałby mi!

Westchnienie.

– Będzie pani musiała mi zaufać – mówi. – Mogę pani wszystko wyjaśnić, kiedy się spotkamy. Naprawdę robimy postępy.

Kiedy się spotkamy. Jak mamy się spotkać? Przeraza mnie myśl, że mogłabym wyjść bez Bena, że on nawet by nie wiedział, gdzie jestem ani z kim.

– Przepraszam – mówię. – Nie mogę.

– Christine, to ważne. Jeśli zajrzy pani do swojego kalendarza, zobaczy pani, że to, co mówię, jest ważne. Ma go pani? Powinien być w torebce.

Biorę kwiecisty kalendarzyk z kanapy, gdzie upadł, i czuję wstrząs na widok daty wydrukowanej złotymi

literami na froncie. Dwa tysiące siedem. Powinno być dwadzieścia lat wcześniej.

– Tak.

– Proszę zerknąć na dzisiejszy dzień – mówi. – Trzydziesty listopada. Powinna pani zobaczyć informację o naszym spotkaniu.

Nie rozumiem, jak może być listopad – a jutro gruzdzień – ale i tak przerzucam kartki, cienkie jak bibułka, do dzisiejszej daty. Między kartkami znajduję zatknięty kawałek papieru, a na nim wypisane charakterem zupełnie mi obcym widnieją słowa: „30 listopada – spotkanie z dr. Nashem”. Poniżej: „Nie mówić Benowi”. Zastanawiam się, czy Ben je czytał, czy przegląda moje rzeczy.

Uznaję, że nie ma powodu tego robić. Pozostałe dni są puste. Żadnych urodzin, wyjść, imprez. Czy ten kalendarzyk naprawdę ma związek z moim życiem?

– Dobra – mówię.

Nash wyjaśnia, że przyjedzie po mnie, że wie, gdzie mieszkam, i będzie za godzinę.

– Ale mój mąż...

– Wszystko w porządku. Zanim on skończy pracę, już dawno wrócimy. Obiecuję. Proszę mi zaufać.

Zegar na kominku wygrywa kurant, zerkam na niego. Jest staromodny, duża tarcza w drewnianej obudowie obramowana cyframi rzymskimi. Wskazuje wpół do dwunastej. Obok zegara leży srebrny klucz do nakręcania, pewnie Ben musi o tym pamiętać każdego wieczora. Wygląda tak staro, że chyba jest zabytkowy. Zastanawiam się, jak weszliśmy w posiadanie takiego zegara. Może nie ma historii, a w każdym razie nie ma historii związanej z nami, tylko po prostu zobaczyliśmy go kiedyś w sklepie lub na targu i któremuś z nas się spodobał. Pewnie Benowi. Uświadamiam sobie, że mnie się zegar nie podoba.

Spotkam się z nim tylko ten jeden raz, myślę. I dzisiaj wieczorem, kiedy Ben wróci do domu, powiem mu o tym. Nie do wiary, że coś takiego trzymam w sekrecie przed nim. Podczas gdy tak bardzo jestem od niego zależna.

Ale głos doktora Nasha wydaje mi się dziwnie znajomy. W przeciwieństwie do głosu Bena, który wydał mi się całkowicie obcy. Chyba nawet łatwiej mi uwierzyć, że już kiedyś spotkałam Nasha, niż że spotkałam męża.

Powiedział, że robimy postępy. Muszę się dowiedzieć, jakie postępy ma na myśli.

– Dobra – mówię. – Proszę przyjechać.

Po przyjeździe doktor Nash proponuje, żebyśmy poszli na kawę.

– Ma pani ochotę? – pyta. – Chyba nie ma sensu jechać taki kawał drogi do mojego gabinetu. I tak przede wszystkim chciałem z panią dzisiaj porozmawiać.

Kiwam głową i mówię, że tak. Kiedy przyjechał, byłam w sypialni. Patrzyłam, jak parkuje i zamyka samochód, widziałam, jak poprawia włosy, wygładza marynarkę, bierze teczkę. To nie on, uznałam, gdy kiwnął głową robotnikom, którzy rozładowywali narzędzia z furgonetki, on zaś w tym momencie ruszył ścieżką do naszego domu. Wyglądał młodo – za młodo, żeby być lekarzem – i chociaż nie wiem, jakiego stroju się po nim spodziewałam, na pewno nie była to sportowa kurtka i szare spodnie sztruksowe, a to właśnie miał na sobie.

– Na końcu ulicy jest park – mówi. – I chyba kawiarnia. Pójdziemy tam?

Idziemy razem. Panuje przenikliwy ziąb, ciasno zawiązuję szalik na szyi. Cieszę się, że mam w torbie telefon komórkowy, który dał mi Ben. Cieszę się też, że doktor Nash nie nalegał, żebyśmy pojechali gdzieś samocho-

dem. Po części mu ufam, ale po części, po większej części, myślę sobie, że może być kimkolwiek. Obcym.

Jestem dorosła, lecz uszkodzona. Ten człowiek bez trudu mógłby mnie gdzieś zabrać, chociaż nie wiem, w jakim celu miałby to zrobić. Jestem bezbronna jak dziecko.

Docieramy do głównej ulicy, oddzielającej moją ulicę od parku naprzeciwko, i czekamy, żeby przejść. Nasze milczenie wydaje się uciążliwe. Zamierzałam zaczekać, aż usiądziemy, zanim go o cokolwiek zapytam. Nie wytrzymuję:

– Jakiej specjalizacji jest pan lekarzem? Co pan robi? Jak mnie pan znalazł?

Zerka na mnie.

– Jestem neuropsychologiem – odpowiada z uśmiechem.

Zastanawiam się, czy zadaję mu to samo pytanie za każdym razem, gdy się spotykamy.

– Specjalizuję się w leczeniu pacjentów z chorobami mózgu, a interesuję się kilkoma nowymi technikami neuroobrazowania funkcjonalnego. Od dawna szczególnie mnie ciekawią badania procesów i funkcji pamięci. Dowiedziałem się o pani z literatury przedmiotu i znalazłem panią. Nie było to zbyt trudne.

Zza zakrętu wyjeżdża samochód i kieruje się w naszą stronę.

– Z literatury?

– Tak. Napisało o pani kilka rozpraw. Nawiązałem kontakt z placówką, w której panią leczono, zanim zamieszkała pani w domu.

– Dlaczego? Dlaczego chciał mnie pan znaleźć?

Uśmiecha się.

– Bo pomyślałem, że zdołam pani pomóc. Przez jakiś czas pracowałem z pacjentami o podobnych pro-

blemach. Uważam, że da się im pomóc. Wymagają jednak większego nakładu pracy niż standardowa godzina tygodniowo. Miałem kilka pomysłów, jak osiągnąć konkretną poprawę, i chciałem kilka z nich wypróbować. – Przerywa. – Poza tym piszę artykuł o pani przypadku. Pracę, można powiedzieć. – Zaczyna się śmiać, ale ucina nagle, kiedy do niego nie dołączam. Odchrząkuje. – Pani przypadek jest niezwykle. Uważam, że możemy odkryć o wiele więcej o działaniu pamięci, niż dowiedzieliśmy się do tej pory.

Samochód przejeżdża, a my przechodzimy na drugą stronę. Czuję, że staję się niespokojna, spięta. „Zaburzenia mózgu”. „Badania”. „Znalazłem panią”. Próbuję oddychać, odprężyć się, lecz stwierdzam, że nie mogę. Jest nas dwie w jednym ciele: czterdziestosiedmioletnia kobieta, spokojna, grzeczna, świadoma, jakie zachowanie przystoi, a jakie nie, oraz rozkrzyczana dwudziestoparolatka. Nie mogę zdecydować, którą jestem, ale że słyszę tylko ruch uliczny i krzyki dzieci dobiegające z parku, domyślam się, że jestem tą pierwszą.

Po drugiej stronie przystaję i mówię:

– Proszę mi powiedzieć, co jest grane. Obudziłam się dzisiaj rano w miejscu, którego nigdy nie widziałam, choć to najwyraźniej mój dom, u boku mężczyzny, którego w ogóle nie znam, a on mi mówi, że od dwudziestu lat jest moim mężem. A pan chyba wie o mnie więcej niż ja.

Powoli kiwa głową.

– Ma pani amnezję – mówi, kładąc rękę na moim ramieniu. – Ma pani amnezję od dawna. Nie tworzy pani nowych wspomnień, więc zapomniała pani większość tego, co się jej przydarzyło w całym dorosłym życiu. Codziennie budzi się pani jako młoda kobieta. W niektóre dni jako dziecko.

W jego ustach zabrzmiało to jakoś gorzej. W ustach lekarza.

– Więc to prawda?

– Niestety tak. Mężczyzna w domu to pani mąż. Ben. Poślubiła go pani przed laty. Na długo przed amnezją. – Kiwam głową. – Idziemy dalej?

Potwierdzam i wchodzimy do parku. Jego skrajem biegnie ścieżka, w pobliżu znajduje się plac zabaw, obok chaty, z której wylaniają się ludzie niosący tace z jedzeniem. Kierujemy się tam, ja zajmuję miejsce przy stoliku z obłamanym blatem z formiki, a doktor Nash zamawia napoje.

Wraca z dwoma plastikowymi kubkami wypełnionymi mocną kawą, moja jest czarna, a jego biała. Do swojej wsypuje cukier z cukierniczki stojącej na stole, lecz mnie jej nie podaje, a to bardziej niż wszystko przekonuje mnie, że już się spotykaliśmy. Patrzy na mnie i pyta, co mi się stało w czole.

– Co...? – zaczynam, ale nagle przypominam sobie siniak, który widziałam rano. Najwyraźniej makijaż go nie zakrył. – To? – pytam. – Chyba nie wiem. To nic takiego. Nie boli.

Nie odpowiada. Miesza kawę.

– Więc mąż zajmuje się mną w domu? – pytam.

Podnosi wzrok.

– Tak, chociaż nie zawsze tak było. Z początku, ze względu na poważny stan, wymagała pani opieki całodobowej. Dopiero całkiem niedawno Ben uznał, że jest w stanie sam o panią zadbać.

A więc to, jak się teraz czuję, to poprawa. Aha. Cieszę się, że nie pamiętam czasu, kiedy było gorzej.

– Musi mnie bardzo kochać – mówię bardziej do siebie niż do Nasha.

Kiwa głową. Chwilę milczymy. Pijemy kawę.

– Tak. Chyba tak.

Uśmiecham się, opuszczam wzrok na dłonie trzymające gorący napój, na złotą obrączkę, na krótkie paznokcie, na grzecznie skrzyżowane nogi. Nie rozpoznaję własnego ciała.

– Dlaczego mój mąż nie wie, że się spotykamy? – pytam.

Wzdycha i zamyka oczy.

– Będę szczery – mówi, łącząc dłonie i pochylając się do przodu. – Początkowo prosiłem, żeby pani nie mówiła Benowi, że się ze mną spotyka.

Przeszywa mnie strach, niemal echo. On jednak nie wygląda na niegodnego zaufania.

– Niech pan mówi dalej – zachęcam. Chcę wierzyć, że Nash może mi pomóc.

– Wiele osób, psychiatry, psychologowie i tym podobni, zgłaszało się już kiedyś do pani i Bena, chcąc z wami pracować. On nie wyrażał zgody na pani spotkanie z tymi specjalistami. Wyłożył bez ogródek, że przeszła już pani wyczerpujące leczenie i jego zdaniem nie przyniosło ono nic, tylko panią denerwowało. Naturalnie chciał oszczędzić pani i sobie niepokoję.

Oczywiście. Nie chciał rozbudzać moich nadziei.

– Więc przekonał mnie pan, żebym przyszła na spotkanie bez jego wiedzy?

– Tak. Najpierw zgłosiłem się do Bena. Rozmawialiśmy przez telefon. Poprosiłem go nawet o spotkanie, żebym mu wyjaśnił, co mam do zaoferowania, ale odmówił. Skontaktowałem się więc bezpośrednio z panią.

Kolejny napad strachu, nie wiadomo skąd.

– Jak? – pytam.

Opuszcza wzrok na swoją kawę.

– Przyszedłem do pani. Zaczekałem, aż wyszła pani z domu, i przedstawiłem się.

– A ja zgodziłam się z panem spotkać? Ot, tak po prostu?

– Nie od razu. Nie. Musiałem panią przekonać, że może mi pani zaufać. Sugerowałem, że powinniśmy się spotkać raz, tylko na jedną sesję. Bez wiedzy Bena, jeśli tak trzeba. Obiecałem wyjaśnić, dlaczego chciałem się z panią spotkać i co moim zdaniem mogę pani zaofiarować.

– I zgodziłam się...

Podnosi wzrok.

– Tak. Powiedziałem, że po pierwszym spotkaniu zdecyduje pani, czy powie Benowi czy nie. I że jeśli zdecyduje się pani nie mówić, będę zawsze dzwonił, aby przypomnieć o kolejnym spotkaniu.

– I postanowiłam nie mówić Benowi.

– Tak. Zgadza się. Wyjaśniła pani, że chce poczekać, aż zrobimy postępy, i dopiero wtedy powie mężowi. Uznała pani, że tak będzie lepiej.

– I zrobiliśmy?

– Co?

– Postępy?

Upija znowu kawy, po czym odsuwa od siebie kubek.

– Tak uważam. Chociaż taki postęp trudno dokładnie wyliczyć. W ciągu kilku ostatnich tygodni chyba odzyskała pani sporo wspomnień. Wiele po raz pierwszy, o ile wiemy. A pewne prawdy uświadamia sobie pani częściej niż wcześniej. Na przykład od czasu do czasu budzi się pani i pamięta, że jest mężatką. I... – przerywa.

– I?

– I... no... zdobywa pani niezależność. Tak mi się wydaje.

– Niezależność?

– Tak. Nie zdaje się pani na Bena już tak bardzo jak kiedyś. Ani na mnie.